

Prenumerata w Polsce: Kwart. bez odn. w miejscu 2150·— Mk. z przes. 2470·— Mk. Półrocznie 4940·— Mk. Rocznie 9880·— Mk. **Ameryka:** 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Ceny ogłoszeń: Od miejsca wiersza milimetrowego jednoszpaltowego na str. ostatniej Mp. 20., od miejsca wiersza milim. jednoszp. w części redakcyjnej Mp 50.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy **200** Marek.

Rok XIX. Kraków, 18 listopada 1922. Nr. 41.

Tragedya ślepca.



Niewidomy Wincenty Fabre w Avignonie wystrzałem z rewolweru zabija uwodziciela swej żony

OD WYDAWNICTWA.

Bezrobocie drukarskie, które w pierwszych dniach października wybuchło w Krakowie, spowodowało całomiesięczną przerwę w wydawaniu naszego pisma. Ponieważ pertraktacye, prowadzone między pracodawcami a pracownikami drukarskimi, nie doprowadziły dotąd do żadnego rezultatu i nie wiadomo, kiedy strajk się skończy, Wydawnictwo ***Nowości Illustrowanych,*** **nie chcąc swych P. T. Czytelników pozbawiać ich tygodniowej lektury, podejmuje napowrót przerwaną pracę. Odtąd pojawiać się będą** ***Nowości Illustrowane*** **regularnie w zwykłym terminie, narazie w tej samej co i poprzednio objętości, gdy zaś ukończy się bezrobocie, a praca w drukarniach powróci na swe dawne tory, postaramy się wynagrodzić P. T. Czytelnikom stratę, jaką ponieśli nie z naszej winy i wydamy** ***Nowości Illustrowane*** **w zwiększonych rozmiarach.**

Spodziewamy się, że nasi P. T. Czytelnicy zechcą przyjąć to wytłómaczenie do swej wiadomości i darzyć nas będą w dalszym ciągu swem cennem poparciem i życzliwością, na które w każdym kierunku staramy się zasłużyć.

Tragedya ślepca

(Do illustracyi tytułowej).

Najstraszniejszem kalectwem, jakiem Pan Bóg może dotknąć człowieka, jest utrata wzroku. Ślepiec pozbawiony jest właściwie bezpośredniego kontaktu z otaczającym go światem, będąc zdany na łaskę i niełaskę ludzi, najczęściej nieuczynnych, nieraz wprost wrogo usposobionych. Najbliższe otoczenie kaleki, zamiast starać się mu osłodzić i uczynić znośniejszemi ciężkie chwile jego życia, obchodzi się z nim w sposób bynajmniej nie samarytański, uważając go za złe, które trzeba ścierpieć, nie mogąc się go pozbyć.

Życie w tych warunkach staje się dla kaleki rzeczywiście ciężarem, przyprawia go o rozgoryczenie i zdenerwowanie, nic też dziwnego, że odbić się to musi także i na jego usposobieniu i stosunku do ludzi. Ślepiec daleko dotkliwiej odczuwa wszelkie niepowodzenia i zawody życiowe, wobec swych najbliższych staje się opryskliwym i podejrzliwym, ogarnia go stale demon zazdrości że inni, szczęśliwsi od niego, widzą to, co dla wzroku jego jest niedostępnie.

I krzywdę, wyrządzoną sobie, odczuwa ślepiec dotkliwiej, niż ludzie normalni, nie zawsze jednak może reagować na nią po ludzku i to właśnie gnębi go najbardziej i zatruwa mu życie.

W południowej Francyi, w Avignonie, rozegrał się przed niedawnemi czasy wstrząsający dramat rodzinny na podobnem podłożu. Ociemniały mieszkaniec tego miasta, nazwiskiem Wincenty Fabre, gryzł się podejrzeniem, że żona, którą ubóstwiał, uważając ją za anioła w ludzkiem ciele, za wierną swą przyjaciółkę i opiekunkę, zdradza go z jego przyjacielem, odwiedzającym ich dom bardzo często



Echa pobytu Naczelnika Państwa w Rumunii: Powitanie na dworcu kolejowym w Sinaja przez króla Ferdynanda.



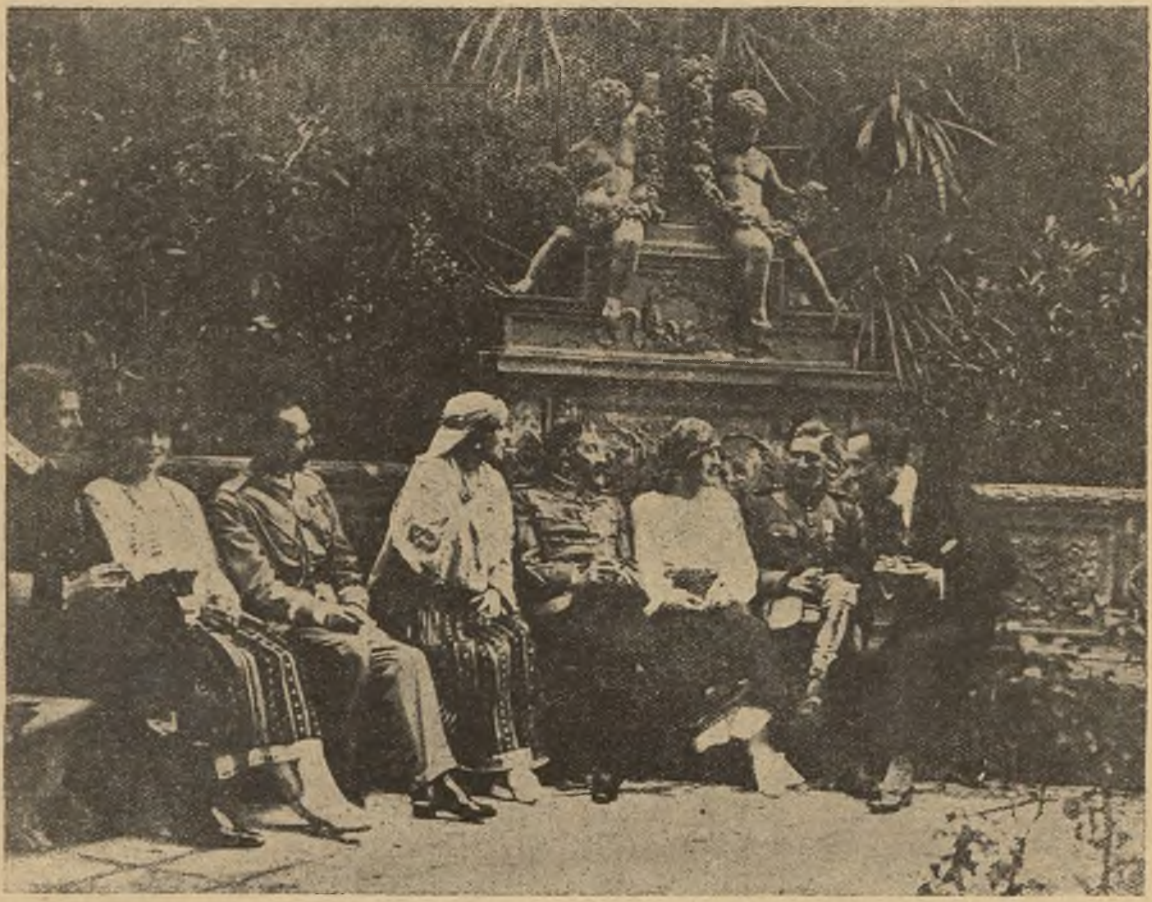
Echa pobytu Naczelnika Państwa w Rumunii: Naczelnik Państwa z królem Ferdynandem w drodze z dworca kolejowego do pałacu królewskiego.

pod pozorem współczucia dla kaleki, potrzebującego rozrywki i towarzystwa. Przekonawszy się niezbicie że się nie myli, powziął straszny zamiar wywarcia zemsty na burzycielu jego szczęścia domowego. Postanowił go zgładzić ze świata, a w wykonaniu zamiaru miała mu dopomódz trzyletnia córeczka, doprowadzając nieszczęśliwego ojca ku miejscu, gdzie siedział uwodziciel, nie przeczuwający, co go czeka. Rozległ się huk strzału, kula kierowana niepewną ręką ślepca, nie chybiła, Józef Andheman, padł na ziemię zalany krwią i po chwili skonał.

Echa pobytu Naczelnika Państwa w Rumunii.

W połowie września b. r. doszły do skutku odwiedziny Naczelnika Państwa w Rumunii, odkładane kilkakrotnie z powodu ważnych, a nieprzewidzianych przeszkód, przeważnie natury politycznej, jak naprzykład ostatnie nasze długotrwałe przesilenie gabinetowe.

Wizyta na dworze rumuńskim nie była tylko aktem zwykłej grzeczności sąsiedzkiej, miała ona głęboki podkład polityczny, to jest stwierdzenie wobec całego świata ścisłych węzłów, tak politycznych, jak i militarnych, łączących ze sobą oba zaprzyjaźnione narody, a mających być rękojmią trwałego pokoju na wschodzie Europy. Dwór rumuński, tamtejsze sfery oficyalne, prasa i cały naród dały z okazyi pobytu Naczelnika Państwa w Sinaja niedwuznaczny wyraz radości z tej wizyty i wzajemnej przyjaźni, zapewniającej obu narodom spokój i bezpieczeństwo, którego tak po-



Echa pobytu Naczelnika Państwa w Rumunii: Rumuńska rodzina królewska i marszałek Piłsudski w parku pałacowym w Sinaja.



Konsekracya Kościoła katedralnego w Łodzi: J. E. ks. Wincenty Tymieniecki, pierwszy biskup łódzki.



Echa pobytu Naczelnika Państwa w Rumunii: Naczelnik Państwa i król Ferdynand w otoczeniu rumuńskich strzelców alpejskich.

trzebują, aby powetować ciężkie straty, poniesione podczas wojny światowej, odbudować się wewnętrznie i wzmocnić swe znaczenie na zewnątrz. Oficyalne sfery rumuńskie zaznaczały kilkakrotnie zupełnie otwarcie, że wspólność granicy polsko-rumuńskiej jest koniecznością dla obu narodów i pokoju Europy, co z góry przekreśla i wyklucza ukraińskie mrzonki o utworzeniu samodzielnej Zachodniej Ukrainy.



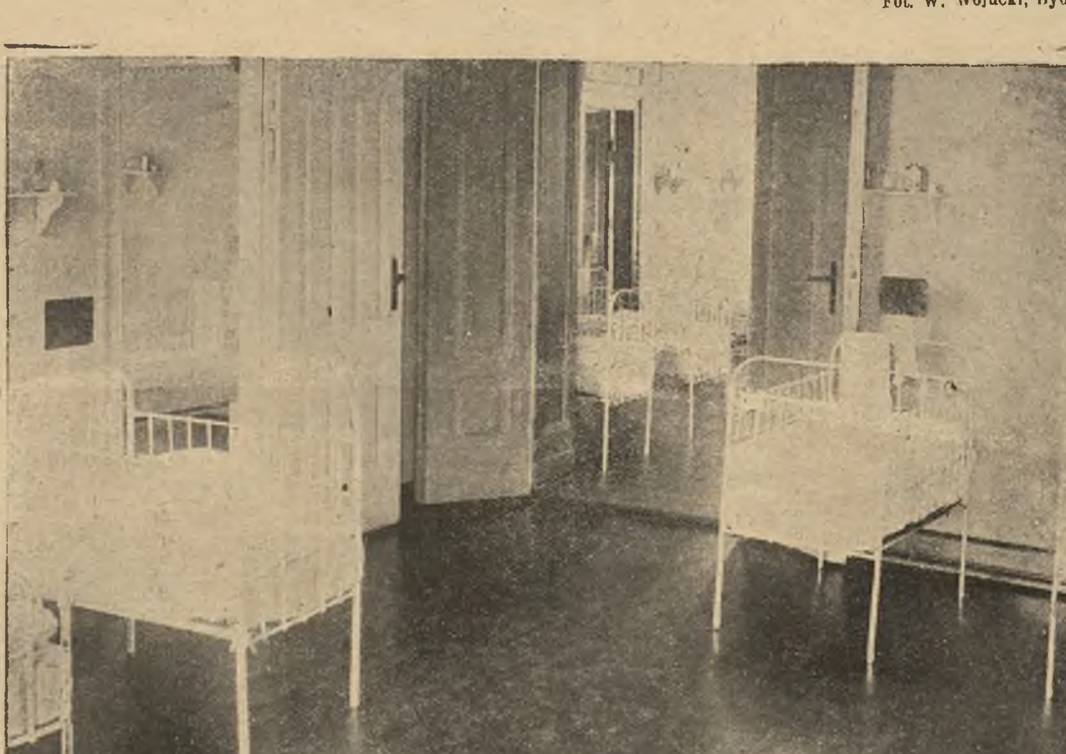
Konsekracya Kościoła katedralnego w Łodzi: Kościół katedralny w Łodzi pod wezwaniem św. Stanisława Kostki.



Dla bezimiennych polskich maleństw w Bydgoszczy: Uczestnicy uroczystości poświęcenia Złóbka (1. Inicyator Żłóbka, dr. M. Winiarski. 2. Jałmużnik, ks. dziekan Malczewski. 3. Dr. B. Śliwiński, prezydent m. Bydgoszczy.) Fot W. Wojucki, Bydgoszcz



Dla bezimiennych polskich maleństw w Bydgoszczy: Dom św. Floryana, gdzie pomieszczono Żłóbek. Fot. W. Wojucki, Bydgoszcz



Dla bezimiennych polskich maleństw w Bydgoszczy: Wnętrze Żłóbka. Fot W. Wojucki, Bydgoszcz.

Stwierdzeniem politycznego charakteru odwiedzin w Rumunii, była obecność w świcie Naczelnika Państwa ministra spraw zagranicznych, Narutowicza i częste i długie konferencye, jakie podczas pobytu w Sinaja odbywał z rumuńskim kierownikiem spraw zagranicznych. Wojskowy orszak, towarzyszący Naczelnikowi Państwa, był także liczny, a jednym z głównych punktów programu przyjęcia były manewry rumuńskich strzelców alpejskich w okolicy Predeal.

Naczelnika Państwa przyjmowano na ziemi rumuńskiej z honorami, przepisanemi etykietą dworską dla panujących. Na dworcu kolejowym w Sinaja oczekiwał jego przybycia król rumuński Ferdynand w towarzystwie dwu swych synów, następcy tronu, księcia Karola, i księcia Mikołaja, ministrowie, jeneralicya, ciało dyplomatyczne i tysiączne tłumy. Tak dworzec kolejowy, jak i droga do zamku Pelesz, przyozdobione były wspaniale zielenią i flagami o barwach polskich i rumuńskich. Po serdecznem powitaniu, przeglądzie kompanii honorowej i wzajemnem przedstawieniu sobie swych świt, wsiedli Naczelnik Państwa wraz z królem Ferdynandem do dworskiego pojazdu, zaprzężonego w cztery wspaniałe konie w następnym zajął miejsce minister Narutowicz z książętami rumuńskimi, wdalszych świty. Na zamku powitała gościa królowa rumuńska z córkami, poczem Naczelnik Państwa udał się do swych apartamentów, przygotowanych dla niego i części jego orszaku w zamku, gdy resztę zakwaterowano w miejscowych hotelach.

Wkrótce po przybyciu odbyło się dworskie śniadanie z całą rodziną królewską. Popołudniu odbywały się rozmowy polityczne oraz narady wojskowych polskich i rumuńskich, wieczorem zaś wielki obiad galowy na cześć Naczelnika Państwa, w czasie którego wygłoszono polityczne toasty, stwierdzające ponownie wspólność interesów obu sprzymierzonych narodów, z podkreśleniem wybitnem pokojowych dążności.

Naczelnik Piłsudski przyjął także przedstawicieli rumuńskiej prasy, do których wygłosił przemówienie.

Punktem kulminacyjnym drugiego dnia pobytu były manewry rumuńskich strzelców alpejskich, na które przybył Naczelnik Państwa w towarzystwie króla Ferdynanda, ministrowi Narutowiczowi towarzyszył zaś jego rumuński kolega. Obecną była również i królowa wraz z księżniczkami. Przy tej sposobności udekorował Naczelnik Piłsudski króla Ferdynanda orderem „*Virtuti Militari*". Po manewrach odbyła się defilada, prowadzona przez następcę tronu, księcia Karola, który następnie podejmował w ścisłem kółku polskiego gościa.

Wieczorem odbył się obiad dworski w ściślejszem gronie, nazajutrz nastąpił odjazd. Pożegnanie było również serdeczne jak i powitanie, opuszczając ziemię rumuńską, wystosował marszałek Piłsudski pod adresem pary królewskiej telegram, w którym, dziękując za serdeczne i gościnne przyjęcie, zapewnił raz jeszcze, że osobiste zetknięcie

LOUIS LETANG.

FATALNY TALIZMAN

Tłóm. z franc. Marya Segeny.

3)

Przy zwłokach pozostał tylko ksiądz Klemes i stary Benoit.

Po upływie kilku minut drzwi otworzyły się niecierpliwie. Markiza de Rochegrise weszła, prowadząc za sobą córkę.

Nie wyrzekłszy słowa obydwie kobiety uklękły u stóp łóżka.

Na ich widok ksiądz Klemens powstał, przeżegnał się poraz ostatni i miarowym, cichym krokiem podążył ku drzwiom. Ale w samym progu spotkał się z panem de Lognes. Człowiek ten nie miał sympatycznego widoku. Wysoki był i chudy. W twarzy kościstej, wybladłej świeciły niepokojącym blaskiem, głęboko osadzone o dziwnie ponurem spojrzeniu — nieduże, czarne oczy. Wąskie, zaciśnięte usta, pokrywały do połowy ciemne, zwisające wąsy.

Na widok niespodziewany księdza Klemensa, pan de Lognes cofnął się niemile zdumiony i krzaczaste brwi jego zbiegły się w wyrazie niezadowolenia. Wytwornym ruchem skłonił jednak przed nim głowę, lecz kiedy ksiądz Klemens uszedł już parę kroków w głąb korytarza — pan de Lognes zamiast wejść do pokoju gdzie leżały zwłoki markiza — spiesznie, jakby pod wrażeniem nagłego zdecydowania pobiegł — za nim wołając:

— Przepraszam, chciałbym parę słów zamienić.

— Jestem do usług pana — odpowiedział ksiądz Klemens zatrzymując się.

— Czy przybył ksiądz tu na wezwanie pana de Rochegrise? zapytał de Lognes — przenikliwie wpatrując się w księdza Klemensa.

— Tak.

— Ach! to ciekawe! — szepnął de Lognes, a w oczach jego zabłysł wyraz wściekłości i niepokoju.

— Ale to dziwne — ja księdza widzę po raz pierwszy.

— Przybyłem tu w zastępstwie proboszcza z Monestier.

— A więc ksiądz zna proboszcza Peyrusse?

— Jest on moim dobroczyńcą.

— I on to prosił pana o zastępstwo?

— Tak on.

— Czy przybył ksiądz dosyć wcześnie, aby wysłuchać spowiedzi pana de Rochegrise?

— Tak i nie. Markiz zaledwie mógł już wymówić słów kilka, ale...

Ksiądz Klemens urwał nagle zdumiony zmianą jaka zaszła w rysach pana de Lognes. Twarz ta w tej chwili wyrażała jakąś groźbę straszną i mściwą. Machinalnym ruchem ksiądz Klemens ukrył głębiej zapieczętowaną kopertę, wręczoną mu przez umierającego, ale ruch ten nie uszedł bacznej uwagi pana de Lognes.

— Co to za papier? — zapytał siląc się na spokój. Ksiądz Klemens brzydził się kłamstwem — odpowiedział też z całą prostotą.

— Jest to spisana spowiedź zmarłego.

Pan de Lognes zadrżał całem ciałem.

— Spowiedź spisana! Co za szaleństwo — Ksiądz mi odda ten papier — dodał wyciągając gwałtownie rękę. — Pan de Rochegrise cierpiał na zaburzenia umysłowe. Halucynacye, które tu spisał nie mają żadnej wartości — być może nawet skompromitować mogą imię rodziny dotąd nieskalonej żadną plamą. Pan mi ten papier odda — powtórzył nakazującym głosem.

— Nie oddam — odparł spokojnie, ale stanowczo ksiądz Klemens —

— Ach! niech się ksiądz strzeże. Są na świecie tajemnice śmiertelne, dla tych, którzy je przeniknąć pragną. Proszę się nie opierać — Czekam.

Przy ostatnich słowach pan de Lognes podszedł tak blisko do księdza Klemensa, że dotykał prawie twarzą jego twarzy, a głos jego dźwięczał ukrytą groźbą i wściekłością.

Ale ksiądz Klemens cofnął się spokojnie i patrząc prosto w jego oczy wymówił jasnym, dźwięcznym głosem:

— Czy tajemnica ta będzie dla mnie śmiertelną, czy nie, poznać ją muszę, skoro umierający nie mógł mi się z niej zwierzyć. Taka była jego wola i takim jest mój obowiązek. Ale niech się pan uspokoi. Te kartki spisane ręką zmarłego zostaną spalone przezemnie, dziś w nocy jeszcze — a ja o ich treści zapomnę... zapomnę nawet nazwisko tego, który mi je wręczył.

— Chciałbym uwierzyć w prawdę tych słów — wymówił pan de Logres powątpiewająco potrząsając głową. Jednakże za młodym jesteś abym ci mógł zupełnie zaufać.

— Co znaczą lata — rzekł łagodnie ksiądz Klemens — osobistość moja, zaręczam panu, nie gra tu żadnej roli. — A zresztą dodał uśmiechając się smutnie, któż wiedzieć może, czy ja młody i pełny sił nie jestem bliższy śmierci, niż stary i sterany życiem ksiądz Peyrusse, który mnie tu przysłał.

Dziwny błysk przemknął w czarnych oczach pana de Lognes...

— Rzeczywiście... bardzo jest to możliwem — szepnął głucho... A więc dobrze — mówić zaczął pospiesznie jakgdyby chciał zakończyć niemiłą dla siebie scenę. — Muszę ustąpić wobec tak głębokich wywodów i sądzę, że ksiądz wybaczy mi moją natarczywość. Jestem starym przyjacielem rodziny de Rochegrise i wiem, że nerwowy, chorobliwy charakter markiza był powodem, niejednego ciężkiego zmartwienia żony jego i córki. Obawiam się wraz, że w zwierzeniach jego ostatnich nie kryje się znowu coś takiego coby je na dalsze — narazić mogło. Jedynie przyjacielska troska o spokój tych dwóch nieszczęśliwych kobiet upoważniła mnie do zainterpelowania księdza w trochę może zaostry sposób. Sądzę zatem, że rozejdziemy się bez urazy — nieprawdaż?

Ksiądz Klemens zaskoczony nagłą zmianą w obejściu się pana de Lognes, skłonił się tylko zimno, lecz nie wymówił słowa.

— Może ksiądz sobie życzy, abym kazał przygotować pokój dla niego na noc — pytał dalej uprzejmie pan de Lognes.

— Dziękuję. Muszę wracać do Monestier.

— Jakto? tak późno? w nocy?

— Ksiądz Pegrusse jest chory, potrzebuje mojej obecności.

— To może chociaż ksiądz pozwoli się odwieść sankami?

— Dziękuję. Droga do Monestier jest bardzo niedobra obecnie. Wątpię czy konie mogłyby przejść tamtędy.

— Ale jakże ksiądz się dostanie na miejsce?

— Piechotą — polami. Poprowadzi mnie młody Lagarade, który mi tu towarzyszył.

— Nie obawia się ksiądz zabłądzić.

— Nie. Pójdziemy naprzód wzdłuż skał aż do Pas-de Cronce, a potem prowadzić nas będzie światło, które służąca księdza de Peyrusse zapalić miała w dzwonnicy Monestier.

— Widzę, że ksiądz się dobrze zabezpieczył — zaśmiał się pan de Lognes. Nie zatrzymuję więc. Mam nadzieję, że zobaczymy się jeszcze, przy omawianiu formalności pogrzebu pana de Rochegrise. Tymczasem do widzenia. Życzę szczęśliwej drogi.

XI.

Marcin Lagarade był praktycznym chłopcem. Kiedy wyproszono go z sypialni gdzie dogorywał markiz de Rochegrise — udał się prosto do kuchen zamkowych, gdzie natychmiast zajął wygodne miejsce przy piecu i gdzie bez trudu udało mu się otrzymać duży kawałek świeżo upieczonego chleba, wraz z dostatnim kawałkiem pieczeni i szklankę wina pachnące bardzo zachęcająco. Posiliwszy się, rozmarzony ciepłem buchającem od pieca, zapadł niedługo w sen silny i pokrzepiający.

W tych to warunkach zaszedł go ksiądz Klemens, który już od chwili szukał go po zamku.

— Oh! a któraż to jest godzina? mruknął nagle przebudzony.

— Dochodzi północ.

— Oh! Boże! I my mamy wracać o takiej godzinie? Nie zanocujemy tutaj?

— Wiesz Marcinie, że ksiądz Peyrusse jest chory, — odpowiedział z wyrzutem ksiądz Klemens.

— Tak, oczywiście, wiem, jednakże...

— Czyżbyś się obawiał zabłądzić, Marcinie?

— Oh! nie! Znam doskonale drogę do Monestier.

— Czegóż więc się lękasz?

Młody chłopak westchnął ciężko.

— Bo to... o północy... łatwo spotkać się można z Niedobrym Pasterzem... tam przy skale Pas-de Cronce...

Ksiądz Klemens uśmiechnął się. Znał on dobrze ten zabobon miejscowy, będący postrachem okolicy.

— Tak, tak — upierał się Marcin — jednym uderzeniem ogromnego kija zadaje śmierć na miejscu... Jeszcze niedawno zdarzyło się to staremu ojcu Godasile, krewnemu mojego wuja, i Antoniemu...

— Uspokój się Marcinie — przerwał ksiądz Klemens. Zaręczam ci, że nie stanie nam się nic złego przy Pas-de-Cronce. „Zły Pasterz" nie może mieć wpływu nad dobrym pasterzem.

— Tak, tak, pewnie księże Klemensie — mruczał przecierając sobie energicznie zaspane oczy. — Ale co robić! Chodźmy — jestem gotów.

— Ah! to mi się podoba. Jesteś dzielnym chłopcem, Marcinie.

— Robi się, co można — westchnął raz jeszcze młody wieśniak.

Wziął w rękę latarkę i kij i bez słowa już skierował się do wyjścia.

Śnieg jeszcze padał, gęsty i powolny. Powietrze było ciche, spokojne, lecz mroźne.

Ksiądz Klemens szedł dosyć szybko poprzedzony przez chłopca niosącego zapaloną latarkę.

W pewnej chwili Marcin odwrócił się nagle i zawołał zmienionym, stłumionym głosem.

— Oh! Boże! Czy ksiądz widział?

— Co takiego? — zainteresował się ksiądz Klemens równając się z nim.

— Ten duży cień czarny, który się przesunął po prawej stronie?

— Nie widziałem nic, Marcinie. Myśl o „Złym Pasterzu" nie daje ci spokoju.

— Być może — a jednak ja mam dobre oczy.

Poszli dalej. Marcin musiał w duchu przyznać, że towarzysz jego miał słuszność, bo szli już dobre z pół godziny, a nic nadzwyczajnego nie zmąciło ciszy jaka ich otaczała.

Noc była ciemna, śnieg nie ustawał padać nie można było nic widzieć dookoła.

— No, jesteśmy już przy skale — odezwał się w końcu Marcin. — Rzeka płynie tu po lewej stronie, tam w tym głębokim parowie. Jeszcze kilka minut drogi, a wyjdziemy na płaszczyznę. Tu jednak będzie przejście nie bardzo bezpieczne. Ja pójdę przodem, a księdzu radzę uchwycić się mojej kurtki i iść tuż za mną.

— Dobrze, Marcinie, posłucham twojej rady — odpowiedział ksiądz Klemens.

— Oh! widzi ksiądz — mówił dalej chłopak, głosem, który drżał mimowoli pod wrażeniem ukrytego niepokoju — tu, w tem miejscu napada zazwyczaj „Zły Pasterz". Zaczaja się na tej skale płaskiej, pod którą teraz przejść musimy i ztamtąd — sam niewidzialny, zadaje cios śmiertelny... Oh! to tutaj... tutaj.

Mówiąc to chłopak wzniósł w górę latarkę.

I nagle okropny okrzyk zgrozy wybiegł z jego piersi.

Na płaskiej skale widniał cień jakiś czarny.

— Zły Pasterz... Zły Pa...

Silne uderzenie w głowę zdławiło jego głos... latarka strzaskana drugim, silniejszym jeszcze ciosem runęła w śnieg...

Ksiądz Klemens uderzony w czoło opadł ciężko na ziemię, jęcząc głucho. Instynktowny ruch jaki uczynił ujrzawszy napastnika, był fatalnym w następstwach... stoczył się bowiem aż nad sam brzeg przepaści i po chwili zniknął w głębi śnieżnej, niewidzialnej czeluści...

Marcin zaś, który zwalił się na kolana, ostatnim błyskiem przytomności, przyczołgał się aż pod wystającą ścianę skały i zręcznie, nie podnosząc się wcale, skulony, biegł, co sił naprzód.

Po chwili na ścieżkę zeskoczył człowiek jakiś, nachylił się, szukając czegoś po śniegu.

— Gdzież oni są u dyabła! — zaklął półgłosem. — Widziałem przecież jako bydwaj potoczyli się na ziemię. — Ale nagle doszedł go szelest czołgania Marcina i jak szalony skoczył w tym kierunku.

Ale Marcin już wyprostował się i owładnięty piekielnym strachem wielkimi susami uciekać zaczął, krzycząc na całe gardło...

— Ratunku, ratunku... to Zły Pasterz... zabije mnie.

I podniecony nagle, instynktowną myślą do swoich okrzyków wzywających pomocy, dodał jeszcze jeden, najskuteczniejszy, choć tak nieprawdopodobny.

— Ogień! ogień! pali się! ratujcie!

(Ciąg dalszy nastąpi).

MARYA SEGENY.

OTCHŁAŃ

POWIEŚC WSPÓŁCZESNA.

3)

– Niechże panna płaszcz i kapelusz zdejmie – zaproponowała pokojówka, zauważywszy jej bladość i zmęczenie. – To pewnie panna całą noc jechać musiała?

– A całą. Tak ciasno i duszno było w przedziale.

– Teraz to tylko pierwszą klasą jeździć można – wyrzekła dziewczyna z pewnością siebie – bo w drugiej to już sama hołota i żydzi.

– Ja trzecią jechałam – przyznała się Marta.

– Oh! to nie zazdroszczę. A panna tu właściwie po co? – pytała ciekawie, przyglądając się Marcie. – Do teatru może? Moja pani pewnie namówiła w Zakopanem. Ale nie radziłabym. Tam bogatych sukien i kapeluszów potrzeba — dodała obrzucając jeszcze raz spojrzeniem ubiór Marty. – I bez protekcyi to ani weź!

– Nie, nie do teatru, chociaż... czy ja wiem... zamyśliła się Marta. – Życie zmienić chciałam... Dorobić się samodzielności... pozycyi dobrej...

– To panna pewnie edukacyę ma – zauważyła już z większym szacunkiem dziewczyna. – Szkoły kończyła? Z dobrej familii pochodzi?

Marta tylko skinieniem głowy przytaknęła. Męczyło ją to niedyskretne badanie, rozgadanej sługi.

– A to co inszego! – oświadczyła poważnie ta ostatnia. – Edukacya to wiele znaczy. Żeby mnie byli kształcenie dali, nie wysługiwałabym się teraz... u takiej. Choć narzekać nie mogę, dobra jest i z garderoby zawsze coś dostanę i obrywki są od tych panów, co tu chodzą. A przychodzi ich tu dosyć, o! dosyć! Możeby się panna kawy napiła? – zaproponowała uprzejmie. – Po takiej drodze, to i jeść się chce pewnie. Właśnie dla pani świeżą parzyć będę.

– Dziękuję bardzo. Napiję się z przyjemnością – ożywiła się trochę Marta, której głód już na dobre dokuczać zaczynał. – A dawno już pani jest u pani Sokolicz?

– Mnie tu wszyscy mówią panna Lola – zaśmiała się pokojówka, rada z pogawędki. – A już z rok. Parę razy odchodzić chciałam, bo i ją często chimery noszą, ale mnie uprosiła, bluzek jedwabnych nadała, to i zostałam. Dobra jest tno prędka i kapryśna, trudno dogodzić, jak na nią co padnie.

– Obiecała się mną zająć, pokierować – zwierzała się Marta, ujęta uprzejmością dziewczyny, której pierwsze powitanie zmroziło ją trochę i swojską atmosferą czystej ładnej kuchenki po której aromatyczny zapach kawy zaczynał się już rozchodzić z porcelanowej maszynki.

Jakoś nie źle się zapowiadał ten pierwszy dzień jej pobytu w Warszawie.

Niedługo może i ona sama mieć będzie takie wspaniałe, bogate, o lśniących jak szkło posadzkach mieszkanie i własną pokojówkę przyrządzającą jej wonną kawę, podczas kiedy ona odpoczywać jeszcze będzie w miękiem jak puch łóżku, pod atłasową, jasną kołdrą.

Szczęśliwa ta pani Luna!

Martę tylko jedna rzecz raziła, rzecz, którą właściwie do głębi zrozumieć jeszcze nie mogła.

Dlaczego ten posługacz i ta dziewczyna wyrażali się z takiem lekceważeniem o pani Lunie!?

Wspominali o jakichś listach, często bywających mężczyznach! Czyżby oni przyczyniali się do zbytku i wygody życia, którymi pani Luna była otoczona? Więc ta kobieta-zjawisko, ta idealna, rozpromieniona szczęściem istota, zdająca się módz zawładnąć całym światem, im, tym mężczyznom zawdzięczała swoją potęgę i sławę, stać się mogła ich powolną niewolnicą, tak samo jak ta matka jej udręczona i wynędzniała poddająca się wstrętnej władzy za cenę nędznej strawy codziennej i zadowolenia najniższych instynktów? Czy to być mogło? Więc zawsze i wszędzie spotykać się będzie z tą niewolą i zależnością? Różnica jest tylko w ilości i jakości tego, co otrzymuje kobieta za swoje zasprzedanie się?

Ogromnie wybujała indywidualność Marty i jej wiara w siły własne i energię życiową nie mogły się pogodzić z tą myślą.

Więc zawsze coś, za coś, targ, handel wymienny, a nic swojego, własnego, niepodzielnego w stosunku do mężczyzny?

– Co się panna tak zasmuciła?; przerwała nagle zamyślenie Marty panna Lola zajęta nalewaniem kawy do ładnych, cienkich filiżanek. Jak pani tu ściągnęła, to i zająć się musi. Tylko, że u niej takie zajęcie to krótko potrwa. Dziś tak, a jutro inaczej. Jak jej fantazya przyjdzie. Trzeba tylko umieć wykorzystać dobrą chwilę. No – proszę pić. Bułeczki świeże i masło także.

Postawiła przed Martą na stole filiżankę i podsunęła koszyczek z pieczywem. – Dobrze, że tej starej niema, zarazby pożałowała.

– Jakiej starej? – zainteresowała się Marta zabierając się do jedzenia.

– A Katarzyny, kucharki. Pilnuje paninego jak pies. Dzwotka nieznośna. Tylko po kościołach ciągiem lata. Jeszcze podobno panią znała, kiedy panienka była małą. Bo pani to pochodzi z jakiejś wielkiej familii i tak zeszła, pomyśleć tylko.

– Zeszła? – powtórzyła Marta ze zdumieniem.

– A może nie? Z panny z dobrego domu, komedyantka została i żeby choć to! Cała Warszawa ją w zębach nosi.

– Bo piękną jest, sławną – stanęła Marta w obronie pani Luny.

– Nie każda takiej sławy chytra – zaśmiała się panna Lola. – Nie dziwować się to dziewczynom biednym i bez edukacyi, że patrzą za chłopem co da lepsze utrzymanie, ale taka panna!

W tej chwili rozległ się donośny dźwięk dzwonka.

– To ona dzwoni na śniadanie! Przebudziła się już przecie – zawołała panna Lola przygotowując tackę z filiżanką. – Zaraz jej powiem, że panna tu jest.

Wyszła ze śniadaniem i powróciła po chwili zapraszając Martę do wejścia do sypialnego pokoju. W łóżku kapiącem od koronek, wstążek i batystów pod jedwabną żółto-złotą kołdrą leżała pani Luna. Czarne, z falowane włosy rozsypały się po poduszce, uwydatniając bladość przejrzystej cery. W jasnem oświetleniu dnia bijącem przez okna zasłonięte lekkiemi koronkowemi firankami wydała się Marcie starszą niż tam w Zakopanem w pracowni. Twarz jeszcze nie upudrowana i nie upiększona sztucznymi środkami, zdradzała jakieś zmęczenie i wyczerpcnie, kryjące się w leciutkich zmarszczkach, które rozsiadły się delikatnie siatką koło powiek i ust blado różowych. Napół odkryte ramiona i ręce wyłaniały się z szerokich rękawów jedwabnej koszuli nocnej, gładkie, toczone lecz martwe jakieś, jakgdyby krwi płynącej pod wydelikaconym naskórkiem brakło żywszego pulsowania i purpurowej barwy, mogącej je zaróżowić.

Ziewnęła szeroko stawiając niedbale na nocnym stoliczku filiżankę i przymrużonemi oczami spojrzała na wchodzącą Martę.

– Ah! to panienka! – wymówiła melodyjnym wystudyowanym głosem. Nie spodziewałem się. Zapomniałem zupełnie o tym przyjeździe. Że też ci się moje dziecko chciało narażać na takie trudy...

– Proszę pani, ja tak pragnęłam przyjechać do Warszawy... odpowiedziała Marta wzruszonym głosem. – I gdy w Zakopanem pani się taka dla mnie dobra okazała i przyrzekła pomoc swoją, to o tem tylko marzyłam...

– Tak... tak... przyrzekłam... prawda... ale co ja teraz z tobą moje dziecko zrobię – zastanowiła się, zapalając długiego cienkiego papierosa wyjętego z małej zgrabnej papierośnicy złotej... W Warszawie nie tak łatwo znaleść tego, czego się szuka... Tu tyle ludzi chce żyć... Jedni drugich wypychają łokciami. Ale proszę usiąść – wskazała fotel zarzucony różnymi drobiazgami tualetowymi, na których wylegiwał się tłusty mopsik w srebrnej obróżce z kokardką. Lou! chodź tu! – zawołała rozkazująco na psa, który jednym skokiem znalazł się na kołdrze i doskakiwać do niej zaczął szczekając i łasząc się...

– Jak panience na imię? zwróciła się nagle do Marty – nie przestając drażnić się z psem...

– Marta!

– Ah! taki Marta! „Marta, Marta, vols mes aitarmes.“ – zaśpiewała nagle parę taktów ze znanej opery, zanosząc się od śmiechu – Co ja z tobą zrobię moja Marto! Co ja zrobię Patetyczne imię! I wygląd niepospolity! Ładna jesteś, wiesz? Trzebaby tylko futerał zmienić, żeby się ten klejnocik wydał lepiej... – Lekki rumieniec wystąpił na bladą twarz Marty. Z tą różową łuną obejmującą regularne, trochę surowe jej rysy, z błyszczącemi oczami czarnemi zapatrzonemi w twarz aktorki -- była rzeczywiście ładna.

Biła od niej świeżość i prostota nie skażona jeszcze nadająca całej postaci, smukłej i zgrabnej, jakąś cechę oryginalną i całkiem indywidualną... Tylko mocno czerwone, zmysłowe usta, jakgdyby nie należące do tej prostolinijnej całości, dziwiły i zarazem drażniły ciekawość, pozwalając przypuszczać, że ta prostolinijność uderzająca z pierwszego wejrzenia była cechą pozorną i mogła się łatwo załamać pod natarciem silniejszych wrażeń i uczuć...

– Ładna jesteś... – powtórzyła poufale pani Luna z lekko ściągniętemi brwiami zatapiając w niej spojrzenie badawcze. – Za ładną może! Albo zwyciężysz, albo zginiesz przez tę urodę... To tak zawsze z kobietami. Na spokojnej, gładkiej powierzchni utrzymać się nam trudno! Ah! – strzepnęła rękami przystrojonemi, bogatemi pierścionkami, od których biły tęczowe blaski – Psie życie nasze! – Cień przeszedł po jej twarzy, czyniąc ją na chwilę starszą, poważniejszą.

– Ale co tam! – ożywiła się zaraz – żyć trzeba!

I z tego życia jaknajwięcej dla siebie korzyści wyciągnąć – prawda? – zwróciła już do Marty twarz ożywioną, roześmianą łobuzersko. Brać, brać jaknajwięcej... oszołamiać się... upajać... do nieprzytomności... do utraty pamięci – Czy rozumiesz co mówię... pojętna jesteś? Marta roześmiała się, ujęta tym żywiołowym temperamentem, błyskającym co chwilę, niespodziewaną jakąś, olśniewającą rakietą...

W tej chwili do sypialni dobiegł odgłos dzwonka biegnącego z przedpokoju i dźwięk podniesionej ożywionej, rozmowy.

– Nie wpuszczać, nie wpuszczać nikogo, – krzyknęła pani Luna – odrzucając niecierpliwie od siebie psa, który targał koronki jej rękawa. — Nie ma mnie w domu! Nie przyjmuję nikogo! Od rana już zanudzają człowieka!

Do pokoju, pomimo głośnego protestu panny Loli, wtoczyła się komiczna postać kobieca!

– Ah! to ciocia Flora! — klasnęła w dłonie pani Luna, która zniecierpliwieni przeszła już do demonstracyjnych objawów radości. — Doskonale się składa. Będziesz mi potrzebna cociu. Bóg cię zsyła i wszyscy jego Aniołowie. Siadaj tu przy łóżku – blizko – blizko – Lola – zawołała głośno – podaj no tu likier i makaroniki – Napijemy się co? Dobrze dziś jestem usposobiona! Wasze szczęście – wybuchnęła szczerym śmiechem – Inaczej powyrzucałabym was obydwie za drzwi! Tylko ty, Lola, nie wpuszczaj już więcej nikogo! pamiętaj! Choćby to był cesarz chiński – rozumiesz?

– A próba – proszę pani? – mentorskim głosem zapytała panna Lola wnosząc na tacy pękatą flaszkę likieru, parę wysmukłych zielonych kieliszków i żądane makaroniki. — Pani zapomniała o próbie? A potem znowu będą awantury! Dyrektor zapisze panią do kary, tak jak w tamtym tygodniu.

– Gwizdżę na dyrektora! na całą budę i na wszystkich! – wybuchnęła pani Luna namiętnie. — Ah! niech ich tam! Wielkie rzeczy! Niech mi spróbuje dać dymisyę! Ciekawam, czy się bezemnie obejdzie! Kto mu kasę robi? kto? Która z tych gęsi ma takie tualety jak ja! która? Niech mnie po nogach całuje, że chcę w takiej kiernozyi grać! Owa! Na drugi sezon to ja w Paryżu występować będę!

– A jak tam pani chce – żachnęła się Lola, urażona, że jej uwaga przeciwny wręcz odniosła skutek. — A jak potem z tego awantura będzie, to pani mnie się o wszystko czepiać będzie.

Wyszła zatrzasnąwszy głośno drzwi za sobą.

– Teroryzuje mnie, jak Boga kocham! teroryzuje mnie ten małpiszon – złościła się jeszcze pani Luna, miętosząc koronki kołdry! — Dawno już bym na cztery wiatry przepędziła, tylko mi jej szkoda, bo żadna tak mnie szybko i dobrze nie ubierze jak ona!

– Niechże się paniuńcia złota uspokoi – przemówiło przekonywująco dziwaczne czupiradło, nazwane przez aktorkę „ciocią Florą“ – Jeszcze migreny paniuńcia dostanie i niekorzystnie na wieczór wyglądać będzie. Napijmy się lepiej tego likieru. Zaraz człowiekowi myśli rozjaśni i uspokoi...

Drżącemi od chciwego pragnienia, zasuszonemi kościstemi palcami, bursztynowy złoty płyn do kieliszków nalewać zaczęła...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

OGŁOSZENIE MINISTERSTWA SKARBU

w sprawie

8%-ej państwowej pożyczki złotej z r. 1922.

Ministerstwo Skarbu ogłasza o wypuszczeniu 8% państwowej pożyczki złotej, uchwalonej przez Sejm Ustawodawczy w dniu 26 września 1922 roku na następujących warunkach:

I. Warunki emisji.

W dniu 16 października b. r. będą oddane do sprzedaży obligacje 8% państwowej pożyczki złotej z r. 1922 w odcinkach.

1) po 10,000 marek polskich i 10 złotych polskich w złocie,
2) „ 50,000 „ „ i 50 „ „ „

Sprzedaż będzie dokonywana do dnia 15 stycznia 1923 roku za gotówkę: w Centralnej Kasie Państwowej, Kasach Skarbowych, Oddziałach Polskiej Krajowej Kasy Pożyczkowej i Pocztowej Kasy Oszczędności, oraz w bankach i instytucjach finansowych, których spis bedzie dodatkowo podany.

Cena emisyjna, ustalona aż do odwołania wynosi:

1) za obligację 10,000 marek polskich i 10 złotych polskich — 24.000 Mk. p.
2) „ „ 50,000 „ „ i 50 „ „ — 120,000 Mk. p.

W ten sposób przy obliczeniu części markowej marka za markę, część złotowa wypada po 1.400 Mkp. za złoty polski, równy frankowi szwajcarskiemu.
Prócz tego oddziały Polskiej Krajowej Kasy Pożyczkowej będą przyjmowały do dnia 15 listopada r. b. zapisy ratami rozłożonemi w sposób następujący:

I rata — przy zapisie — wynosić będzie 20% ceny emisyjnej,
II „ — do dnia 15 grudnia r. b. — „ „ 40% „ „
III „ — „ „ 15 stycznia 1923 r. — „ „ 40% „ „

Przy zapisach ratami, każda rata będzie obliczona według tej ceny emisyjnej, jaka będzie obowiązywała w dniu jej wpłaty.

Oddziały polskiej Krajowej Kasy Pożyczkowej przyjmują przy zakupie 8% państwowej pożyczki złotej z r. 1922 i zapisach na nią połowę należności w obligacjach Pożyczki Odrodzenia (5% wewnętrznych pożyczek państwowych z r. 1920 — długoterminowej i krótkoterminowej) według ceny nominalnej z doliczeniem wartości bieżącego kuponu.

II. Warunki spłaty obligacji i kuponów.

Obligacye 8% państwowej pożyczki złotej z r. 1922 będą wykupione przy ich przedstawieniu w dniu 1 października 1927 r. lub w terminie wcześniejszym, za 6-miesięcznem wypowiedzeniem, nie wcześniej jednak niż w dniu 1 października 1925 roku.

Minister Skarbu zarządzi wykup według zasad następujących:

1) za część markową będzie wypłacona suma oznaczona na obligacjach, marka za markę;
2) za część złotową posiadacz obligacji otrzyma:

a) albo tyle franków szwajcarskich, na ile złotych opiewa obligacja.
b) albo tyle dolarów, ile wypadnie z przeliczenia sumy złotych na dolary, licząc po 0.193 dol. za 1 złoty.
c) albo tyle marek polskich, ile ich wypadnie za część złotową według kursu dolara Stanów Zjednoczonych Ameryki na giełdzie Warszawskiej w miesiącu poprzedzającym wykup.

Te same zasady będą stosowane przy spłacie kuponów.

III. Szczególne przywileje pożyczki złotej.

Obligacje 8% państwowej pożyczki złotej z r. 1922 mają wszelkie prawa papierów, posiadających bezpieczeństwo pupilarne, i będą przyjmowane jako wadja przy licytacjach, kaucje akcyzowe i celne, kaucje przy zawieraniu kontraktów ze Skarbem Państwa, oraz kaucje składane do depozytów wszelkich instytucji rządowych.

Kupony od obligacji 8% państwowej pożyczki złotej z r. 1922 wolne są od podatków od kapitałów i rent i będą przyjmowane przy uiszczaniu ceł, podatków i opłat państwowych.

MINISTER SKARBU

Warszawa, dnia 1 października 1922.

(—) Jastrzębski.

Kronika tygodniowa

Miał zatem kronikarz całomiesięczny urlop, którego się zupełnie nie spodziewał, a za który dziękuje serdecznie P. T. Strajkującym w imieniu swojem i swych kolegów po piórze i nożyczkach. Bezrobocie drukarskie właściwie trwa jeszcze w dalszym ciągu. Wydawnictwu *„Nowości Illustrowanych"* udało się jednak szczęśliwie puścić w ruch maszynę, aby zadość uczynić żądaniom swych Czytelników, którym brakło zwykłej tygodniowej rozrywki, jaką stanowi dla nich nasze pismo. Zasypano nas też listami z zapytaniem, kiedy nareszcie ten strajk się ukończy. Z komunikatów bowiem, ogłaszanych przez obie wojujące strony t. j. właścicieli drukarń i ich pracowników, można było wnosić, że potrwa on długo. Jedni i drudzy oświadczają, że mają jak najlepsze chęci i jedni zwalają winę na drugich, a jakoś nie można znaleźć budowniczego, któryby podjąłby się skonstruowania złotego mostu, wiodącego do zgody.

Z pism codziennych w Krakowie wychodzi normalnie jedynie *Naprzód*, wszystkie inne wydają zbiorowemi siłami *Wiadomości Krakowskie*, które przy wspólnym stole redakcyjnym połączyły ze sobą *Czas* i *Reformę*, *Gońca* i *Kuryera*, *Głos Narodu* i *Nowy Dziennik*. Niema zatem złego, aby na dobre nie wyszło, okazuje się bowiem, że nasza brać dziennikarska, zwalczająca się dotąd namiętnie, potrafi, jeśli tego zajdzie potrzeba, żyć ze sobą w przykładnej zgodzie.

Ucierpiała na tem wprawdzie agitacya przedwyborcza, gdyż trudno było we wspólnym organie zwalczać kandydatów przeciwnych stronnictw i trzeba się było ograniczyć jedynie do luźnych notatek o odbywających się tu i ówdzie zgromadzeniach przedwyborczych, na których jeden z kandydatów mówił, jak budować Ojczyznę, drugi z właściwym sobie artyzmem odmalował obecne położenie polityczne kraju, szkicując w zarysie, jaki to raj nastanie, gdy on chwyci mandat, trzeci znów zapowiadał, że „uszyje buty" wszystkim, inaczej niż on myślącym i t. d. i dalej każdy gadał dużo i szeroko, zadowolony z tego, że wywody jego nie spotykały się ze zwykłą w podobnych wypadkach krytyką przeciwnych obozów. Powiadają też sobie ludzie na ucho, że kandydaci na posłów sami starają się o to, aby bezrobocie drukarskie nie ukończyło się przed wyborami, nie mają bowiem ochoty dowiedzenia się, jak wyglądają w oświetleniu swych przeciwników politycznych. Wiadome to bowiem, że, jeśli ktoś chce dowiedzieć się jeszcze za swego życia, co o nim mówią jego współobywatele, powinien zgłosić swą kandydaturę, a niebawem pojawią się jego życiorysy, nieraz bardzo skrupulatnie i sumiennie zestawione, z szczególniejszem oczywiście uwzględnieniem stron ujemnych, gdyż politycznego przeciwnika chwalić nie wypada.

Jeden tylko *Naprzód*, jest w tem szczęśliwem położeniu, że nie potrzebuje się liczyć z innemi partyami i łamy swego pisma może poświęcić w całości obronie i wychwalaniu swej „dwójki" (taki numer nosi lista kandydacka socyalnej demokracyi) i przestrzeganiu Czytelników, aby, broń Boże, nie poważyli się głosować na „ósemkę", Z tego widać, że ta „ósemka" leży towarzyszom na sercu i wątrobie i że w niej widzą swego najgroźniejszego wroga nietylko w Krakowie, ale w całym wogóle kraju. Inne listy kandydackie krakowskie pomijane są milczeniem lub traktowane z uśmiechem politowania, a zarazem i współczucia dla tych nieszczęśliwych kandydatów, którzy, nieraz sami nie wiedząc skąd, na nich się znaleźli. Zgłoszono w naszem mieście owych list coś z piętnaście, oczywiście można brać w rachubę tylko nazwiska czołowe, choć i te są przeważnie dość niefortunnie dobrane. Kandydaci od trzeciego miejsca począwszy wstecz nie siłą się też na agitacyę, wiedząc o tem, że znaleźli się tam jedynie dla jej ozdoby, do sali sejmowej dostać się zaś mogą jedynie chyba na galeryę, choć nie jest wykluczone, że szczęście może im posłużyć i, dy zajmujący pierwsze miejsca przeniosą się do wieczności lub zgłoszą rezygnacyę, mogą i oni zająć miejsca w ławach poselskich.

W każdym razie jest to przecie zaszczyt wielki, jeśli kto uznany został za godnego pomieszczenia na liście wyborczej, choćby nawet w jej ogonku, może się bowiem chwalić i przekazać to dzieciom i wnukom, że współobywatele obdarzyli go swem zaufaniem, choć ich o to nie prosił, ani nic nie fundował. Nie ulega kwestyi, że i taki pan ze samego końca listy kandydackiej, nie otrzymawszy mandatu, poczuje urazę do społeczeństwa i nie daruje mu nigdy, że nie poznało się na jego zasługach, których wprawdzie dotąd jeszcze nie położył, ale miał zawsze jak najlepsze chęci. Bardzo mądrem jest wprowadzenie w życie tak zwanych list parawanowych, gdzie na pierwszem miejscu umieszcza się nazwisko poważnego kandydata, mogącego liczyć, że się głosy na niego posypią, a po wyborze zrezygnuje, robiąc w ten sposób miejsce swemu następcy, kryjącemu się za nim skromnie, niczem za parawanem.

Zakaz sprzedaży alkoholu w okresie przedwyborczym i ustanowienie pięciu „suchych dni" z rzędu nie wpłynęło bynajmniej na osłabienie akcyi wyborczej, owszem podnieciło ją nawet, ten i ów bowiem mówca, nie mogąc ugasić swego pragnienia, rzuca tem bardziej siarczyste gromy na wszystkich przeciwników politycznych. Kandydaci, dbali o swoje interesy, nie zapomnieli zawczasu zaopatrzyć się w odpowiednią ilość „argumentów", mających im zdobyć zaufanie wyborców, a na to nawet najwyższa władza nie poradzi, jeśli ktoś kogoś zechce uczęstować w swem prywatnem mieszkaniu. Nie smakuje to wprawdzie tak, jak w knajpie, ale amatorów na podobny poczęstunek nie braknie, zgłoszą się nawet tacy, którzy głosu zupełnie nie mają. Trzeba zatem tylko umieć szukać, a można nawet i w owe osławione „suche dni" znaleźć odpowiednio mokre przyjęcie. To jednak smutne, że zrywamy coraz bardziej z dawnemi tradycyami. O tak sławnej niegdyś w Galicyi „kiełbasie wyborczej" prawie nic się nie słyszy, a winę tego przyjąć muszą na siebie w znacznej części panowie masarze, którzy jej ceny wyśrubowali tak gwałtownie, że zwykła kiełbasa stała się prawie niedostępną dla przeciętnego śmiertelnika, nie mówiąc już o wyborczej, ta bowiem musi być lekko strawna, zatem z lepszego materyału sporządzona *ergo* i droższa.

W agitacyi przedwyborczej wzięła udział i to bardzo wybitny gmina miasta Krakowa, starając się za wszelką cenę osłodzić życie tak kandydatom na posłów, jak i wyborcom. Sprowadzono zatem należytą ilość cukru, który rozdzielono bez różnicy zapatrywań politycznych, choć z matadorów miejskich żaden nie kandyduje na seryo, pan prezydent Federowicz cofnął się z nad Wisły nad Pełtew, dwaj inni członkowie prezydyum odgrywają role fiołków kandydackich, ukrytych skromnie na końcach list, a jedynym kandydatem na seryo tego zespołu jest dr Bobrowski, który tak czy owak posiada bardzo silne poparcie swych towarzyszy partyjnych, więc do pomocy cukry uciekać się nie potrzebuje.

Ponieważ Magistrat przydzielił zapasy cukru przedewszystkiem urzędom, konsumom i innym podobnym instytucyom, a resztę sprzedawał we własnym zarządzie w kilku punktach miasta, zwykły śmiertelnik, nie będący ani urzędnikiem, ani członkiem żadnego konsumu, chcąc sobie osłodzić życie musiał stawać do „ogonka". Były one bardzo poważne, zwłaszcza „ogonek ratuszowy" na Rynku, sięgający prawie aż do linii A-B i to w dwu szeregach. Z licznego gromadzenia się publiczności korzystali agitatorzy przedwyborczy, zachwalając swych kandydatów. Zwolennicy „dwójki" zapewniali zebranych, że te ziemskie słodycze mają do zawdzięczenia jedynie drowi Bobrowskiemu, który jest jenerałem od miejskiej aprowizacyi i wzywali, aby wobec tego wszyscy, którzy chcąc mieć słodkie życie i na przyszłość, głosowali jedynie na listę Nr. 2, natomiast „ósemkarze" zapewniali, że ziemskie słodycze są niczem w porównaniu z wiecznemi, a te staną się udziałem tylko tych, którzy oddadzą głos na listę Nr. 8.

Kronikarz, korzystając z wakacyi przymusowych, z polecenia wyższej swej władzy domowej znalazł się także w „ogonku" i to aż dwa razy, dzięki czemu udało mu się zdobyć dwa kilo cukru, którym osłodził życie swej rodzinie przynajmniej na jakie dwa tygodnie, ale nie powziął ostatecznego postanowienia, czy głos swój ma oddać na „dwójkę", czy na „ósemkę". Za „dwójką" przemawia przedewszystkiem to, że kandydaci z niej pochodzący, o ile nie mają jeszcze własnych kamienic zapowiedzieli otwarcie, iż do ostatniej kropli krwi walczyć będą w przyszłym Sejmie w obronie lokatorów.

Krakowscy kupcy obrazili się na Magistrat i to nie na żarty, iż im cukru do sprzedaży nie przydzielono i zobowiązali się solidarnie nie oddać głosu ani jednemu „magistratnikowi", ponadto na znak żałoby pochowali resztki zapasów cukrowych, jakie posiadali i sprzedają je jedynie znajomym, oczywiście po cenach takich, jakie będą ustanowione na cukier, pochodzący z rozpoczynającej się obecnie kampanii.

W międzyczasie, gdy kronikarz z woli Opatrzności i p. p. drukarzy oddzielony był od P. T. Czytelników mieliśmy w Krakowie sporo różnych nowości, przedewszystkiem zaś pierwszy śnieg, mający służyć jako *memento*, iż nie należy zapominać o zaopatrzeniu się na zimę we węgle, zdaje się bowiem, że zapowiedziana już na grudzień i styczeń wiosna z powodów od Redakcyi nie zależnych nie dojdzie do skutku. A węgiel to dziś prawdziwy klejnot, musi się go też odpowiednio płacić. Urzędnicy, którzy w tym czasie otrzymali zaliczki w wysokości dwu lub trzymiesięcznej płacy znaleźli się w tem miłem położeniu, że o węglach mogli pomyśleć, kronikarz natomiast musi się pocieszać jedynie nadzieją, że zima będzie lekką, wobec tego szkoda wydawać pieniądze na węgle, aby sąsiedzi mieli czem palić.

Ta urzędnicza zaliczka wpłynęła także dodatnio na obroty na rynku małżeńskim. Ponieważ żonaci urzędnicy otrzymać mieli ją w wysokości trzymiesięcznej płacy, a kawalerowie tylko dwumiesięcznej, ten i ów, choć nie miał nawet zamiaru, zgiął kark pod jarzmo małżeńskie, wobec czego w samym Krakowie liczba panien, skazanych na staropanieństwo, zmniejszyła się w tym czasie, jak to stwierdzają zapiski miejskiego Urzędu Statystycznego, o trzysta dwadzieścia siedm sztuk, co kiedyś o ile te zaliczki częściej się powtórzą, może doprowadzić wreszcie do liczebnego zrównania obu płci.

Ten wzmożony popyt na targu małżeńskim powitać należy z pełnem zadowoleniem i tutaj bowiem dają się odczuwać przykre następstwa światowej wojny, Ożenić się trudno, wyjść za mąż jeszcze trudniej. Dawniej kawalerowie polowali na posażne panny, a te przebierały między nimi, jak w ulęgałkach, dziś stosunki zupełnie się zmieniły, dziewice łowią kandydatów do stanu małżeńskiego, a ci nauczyli się cenić swą wartość i byle czem nie chcą się zadowolić. Panna, nie rozporządzająca kilku milionami w gotówce, nie może liczyć na to, aby mogła stanąć przed ołtarzem choćby z kawalerem, który wdzięki swe uzupełnić musiał jakąś protezą.

Ostatnie dni przed wyborami spędził Kraków naprawdę sucho, choć bowiem chlapało błoto pod nogami, na odwilż gardła nie było czem, do rozporządzenia wojewódzkiego zastosowała się bowiem także i główna magistracka rura wodociągowa i pękła, pozbawiając mieszkańców bielańskiego płynu. Socyaliści utrzymywali, iż powodem owego pęknięcia była niecna agitacya „ósemki", jej zaś zwolennicy spychali całą winę na stronnictwa lewicowe, których gospodarki nie mogą znieść nawet tak spokojne z natury stworzenia, jak rury magistrackie. Z tego skorzystał komitet, popierający kandydaturę mistrza szydła, Surówki, oraz mistrza pędzla, prof. Wodzinowskiego, ogłaszając *urbi et orbi*, że kto chce, abyśmy mieli „Ojczyznę Mickiewiczowską", w którejby rury nie pękały, powinien oddać swój głos tylko kandydatom z tej listy.

Z okazyi Dnia Zadusznego widzieliśmy na cmentarzu rakowieckim kilku kandydatów na posłów, którzy przybyli tutaj, aby się polecić pamięci P. T. Wyborców, nie jest bowiem wykluczone, że w decydującej chwili wezmą udział w akcyi wyborczej i mieszkańcy rakowickiego ogrodu, by ratować zagrożone mandaty.

Dokładne sprawozdanie z przebiegu ostatnich dni przed wyborami odłożyć musimy do następnego numeru, w którym powitamy uroczyście zdobywców zaufania współobywateli.

się z królem i przedstawicielami rządu rumuńskiego przyczyni się do tem silniejszego zaciśnięcia węzłów wzajemnej sympatyi i przyjaźni.

Z okazyi odwiedzin na rumuńskim dworze nastąpił szereg odznaczeń, tak ze strony polskiej, jak i rumuńskiej, Naczelnik Państwa złożył nadto hojne ofiary na cele dobroczynne.



Zgon znakomitego artysty dramatycznego. S. p. Edmund Rygier.

Na wiosnę projektowaną jest rewizyta króla rumuńskiego w Warszawie.

Konsekracya Kościoła katedralnego w Łodzi.

Polski Manchester, Łódź, nie tak dawno jeszcze niewielka osada, dziś jedno z największych miast w Polsce, został na mocy dekretu Stolicy Apostolskiej z dnia 10 grudnia 1920 r. siedzibą nowoutworzonego biskupstwa łódzkiego, wydzielonego z archidyecezyi warszawskiej. Nowa dyecezya obejmuje 67 parafii z półmilionową przeszło ludnością katolicką, a pierwszym biskupem zamianowany został dotychczasowy dziekan łódzki i proboszcz przy kościele św. Stanisława Kostki, ks. prałat Wincenty Tymieniecki. Konsekracya i uroczysty ingres pierwszego Biskupa łódzkiego odbyły się w dniu 29. czerwca 1921., poświęcenia Kościoła katedralnego pod wezwaniem św. Stanisława Kostki, będącego dopiero w budowie, dokonano w uroczysty sposób w dniu 15 października b. r.

Utworzenie dyecezyi łódzkiej było spełnieniem dawno tajonych pragnień tak polskich kierowniczych sfer duchownych, jak i katolickiej ludności miasta Łodzi i okolicy, która z żywą radością powitała decyzyę Kuryi rzymskiej, a to tembardziej gdy się dowiedziała, że jej Arcypasterzem ma zostać dobrze znany w mieście i okolicy, zwłaszcza z czasów wojny, kapłan i obywatel, ks. prałat Wincenty Tymieniecki.



Pomnik Konfederatów Barskich w Pakości: Kamień grobowy w Pakości ku czci poległych w r. 1769 Konfederatów. Fot. am. C. Kopczyński.



Hajdamaczyzna hula: Zamordowany przez Ukraińców Jurij Petrijczuk (x) z Krzyworówni, pow. Kosów w gronie delegatów huculskich, którzy w dniu 17. września br. witali Naczelnika Państwa w Kołomyi. Fot. por. Bor, Kołomyja



Odbudowa wiaduktu kolejowego na linii Stanisławów — Woronienka: Wiadukt „na Lubiżnej" pod Delatynem w obecnym stanie.

Nowy dostojnik Kościoła, pierwszy Biskup Dyecezyi Łódzkiej, pochodzi ze znanej szlacheckiej rodziny, osiadłej oddawna w ziemi Sieradzkiej, pieczętującej się herbem Zaremba.

Urodził się w Piotrkowie w 1871 r. Ojcem Jego był ziemianin Bolesław Tymieniecki, matką Natalia ze Stokowskich, herbu Jelita.

Ks. Wincenty Tymieniecki, po ukończeniu nauk średnich w 1891 wstępuje do Seminaryum duchownego w Warszawie, które kończy z wyróżnieniem. Dnia 6. stycznia 1895 otrzymuje święcenia kapłańskie z rąk ówczesnego Arcybiskupa ks. Popiela, który jeszcze w czasie studyów seminaryalnych zwrócił na niego uwagę, jako na wzorowego i zdolnego ucznia. Kolejno jako młody kapłan pełnił obowiązki wikaryusza najpierw w parafii skierniewickiej, gdzie stał się wielce popularnym wskutek swych nauk kaznodziejskich i pracy społecznej, a następnie w Łodzi, w parafii świętokrzyskiej. Wkrótce jednak ks. Arcybiskup Popiel powołuje młodego katechetę na swego kapelana. Od tej chwili ks. Wincenty stał się jakby prawą ręką ks. Arcybiskupa i za jego staraniem otrzymał z Rzymu zaszczytną godność prałata i szambelana. Po czteroletnim pobycie w Warszawie, otrzymuje probostwo w parafii Słomczy, a następnie w parafii Św. Ducha w Łowiczu. Niedługo jednak tam bawił, gdyż w tym właśnie

czasie nowobudująca się w Łodzi świątynia św. Stanisława Kostki potrzebowała energicznej ręki dla administracyi. Parafia została zatwierdzoną i pierwszym proboszczem naznaczony został ks. Tymieniecki. Była więc parafia, był proboszcz, lecz nie było jeszcze świątyni. Wiedziały jednak wyższe władze duchowne, że tylko tak energiczny i światły kapłan, zdoła to wielkie dzieło doprowadzić szczęśliwie do końca i oddać do użytku katolickiej Łodzi. I tak się też stało. Stanęła wspaniała świątynia a obok niej w skromniuchnej plebanii zamieszkał ten, który niezmordowaną pracą nietylko dla swych parafian lecz dla całej Łodzi robotniczej w ciężkich dniach wojny wszechświatowej latami całymi wyjednywał olbrzymie ofiary dla wyżywienia ubogich i głodnych. Obecnie świątynia ta została erygowaną jako katedra.



Gość z Japonii w Krakowie: Redaktor Henryk Klepacki.

Konsekracya Kościoła katedralnego łódzkiego odbyła się w sposób bardzo uroczysty. Na ten obrzęd przybył jeszcze w przeddzień uroczystości, t. j. w sobotę dn. 14. października o godz. 5. pp. J. Em. Ks. Kardynał Arcybiskup Kakowski, witany w katedrze przez licznie zgromadzony lud, przedstawicieli władz państwowych i liczny orszak duchowieństwa na czele z J. E. Ks. Stanisławem Zdzitowieckim, Biskupem Kujawsko-Kaliskim i J. E. Ks. Wincentym Tymienieckim, Biskupem Łódzkim.



Cuda współczesnej techniki. Przeniesienie kolosalnej lokomotywy na pokład statku.

Nazajutrz t. j. w niedzielę o godz. 8. i pół rano J. E. Ks. Biskup Tymieniecki w otoczeniu Kapituły i Duchowieństwa dyecezyi łódzkiej rozpoczął uroczystości konsekracyi Katedry Łódzkiej. Po dokonaniu obrzędu konsekracyi J. E. Ks. Biskup Zdzitowiecki celebrował w Katedrze sumę pontyfikalną w obecności J. Em. Ks. Kardynała i przedstawicieli władz państwowych i miejskich. Jednocześnie na cmentarzu kościelnym wobec licznie zgromadzonego ludu odprawił sumę J. E. Ks. Biskup Tymieniecki. Kazania na temat uroczystości do kilkunastotysięcznych rzesz wygłosili w Katedrze Ks. Prałat Wacław Wyrzykowski, na cmentarzu Ks. Szulc z Pabjanic.

Dla bezimiennych polskich maleństw w Bydgoszczy.

(Od naszego specyalnego korespondenta).

Przez niemal lat trzy tj. od dnia 20. stycznia 1920, w którym to czasie Bydgoszcz, (dawne hakatystyczne *Bromberg*) przeszła pod panowanie Polski. (wkroczenie wojsk jen. Muśnickiego) mówiło się tu po cichu o pewnym wielkim skandalu społecznym. Oto bezimienne sieroty polskie były przez swe nieszczęsne matki albo topione w nurtach Brdy, jak to notowały wciąż kroniki policyjne, albo w najlepszym razie zagarniał je na wychowanie, ku wielkiej uciesze Berlina, tutejszy niemiecki *Kinderheim* przy placu Kościeleckich.

Fakty te opowiadano sobie, a zwłaszcza na podstawie relacyi lekarzy, tak długo po cichu, aż wreszcie miał je odwagę głośno przedstawić polskiej publiczności dr. M. Winiarski, wzywając do składek na organizacyę własnego polskiego żłóbka dla bezimiennych piskląt w Bydgoszczy.

Myśl rzucona w szczęśliwym momencie znalazła żywy i gorący oddźwięk w sercach tutejszego ogółu polskiego. Zbieraniem składek zajął się energicznie ks. dziekan Malczewski i oto nie upłynął rok a dla instytucyi stworzono odpowiedni podkład finansowy. Kupiectwo tutejsze branży włókienniczej sypnęło hojnie płótna na koszulki, pieluszki i prześcieradełka, grono zaś dzielnych pań z pp. Idźkowską i Tyrankiewiczową na czele tak długo kwestowało, póki nie zostało zebrane grosiwo potrzebne na zakupienie łóżeczek. Siostry z Domu św. Floryana użyczyły czterech salek i... Żłóbek na 30 łóżeczek był gotowy.

Dnia 1 października b. r. odbyła się uroczystość



Mandat angielski nad Palestyną: Odczytanie w sali recepcyjnej pałacu gubernialnego w Jerozolimie dekretu królewskiego, mianującego sir Herberta Samuela wysokim komisarzem dla Palestyny.

poświęcenia, którego dokonał niestrudzony jałmużnik tej instytucyi ks. dziekan Malczewski. Obecny na uroczystości prezydent miasta dr. Śliwiński oświadczył, dziękując inicyatorowi dzieła i jego ofiarnym wykonawcom, że przyjmuje Żłóbek pod opiekę miasta, które odtąd na przyszłość łożyć będzie na potrzebne koszty jego utrzymania.

W ten sposób zapełnioną została bardzo przykra luka w strukturze społecznej miasta, które na zachodzie wobec ustawicznego naporu Niemców, najdzielniej jako umie pełni straż polskości, gdzie ta polskość winna być utrzymaną kosztem jak największych wysiłków...

Odrowąż

Zgon znakomitego artysty dramatycznego.

Jeden z ostatnich — prawdziwych kapłanów Sztuki, jeden z tej gwardyi, której nazwiska Historya polskiego Teatru złotemi zgłoskami zapisać winna — Edmund Rygier, znakomity artysta dramatyczny zmarł na posterunku swej pracy.

Dnia 18. ub. m. przyniósł telegraf żałobną tą wieść z Torunia.

Ś. p. Rygier, aczkolwiek w podeszłym już wieku wykazywał do ostatniej chwili pracowitego swego żywota — zdawało się niespożyty zasób energii i sił duchowych, jakie są tylko wybitnych talentów udziałem.

Jeszcze na tydzień przed śmiercią występował gościnnie w Bydgoszczy, gdy po powrocie do Torunia nurtująca choroba sercowa powaliła go na łoże, z którego nie podniósł się już więcej.

Nazwisko zmarłego łączy się z epoką najświetniejszego rozwoju sceny krakowskiej, za czasów dyrekcyi Koźmiana, Gliksona i Pawlikowskiego. Przedstawiciel kierunku klasycznego zajął ś. p. Rygier wybitne stanowisko na scenie, a kreacye Jego:

Wojewoda w „Mazepie“, Derblay w „Właścicielu Kuźnic“, Andreas w „Teodorze“, Otto Lerche, cały szereg postaci szekspirowskich i molierowskich — zostaną na zawsze w pamięci tych, co go na scenie widzieli.

Urodzony w r. 1853 w Warszawie po ukończeniu gimnazyum wstąpił ś. p. Rygier do szkoły dram. Królikowskiego, poczem występował przez szereg lat w prowincyonalnej trupie A. Trapszy. W r. 1879 debiutuje w Warszawie, wreszcie przez St. Koźmiana zostaje zaangażowanym do teatru krakowskiego. W r. 1896 objął dyrekcyę teatru poznańskiego, poczem kolejno widzimy Go dyre ktorem teatru Ludowego w Krakowie. kierownikiem



Wznowienie Maryi Stuart: P. Pancewiczowa jako Marya Stuart.

teatru pols. w Pradze i Lublinje, wreszcie teatru plebiscytowego na Górnym Śląsku i reżyserem teatru p. w Toruniu.

Śmierć zaskoczyła ś. p. Rygiera na tym ostatnim posterunku, i co tem tragiczniejsze — w chwili, gdy teatry krakowski i warszawski postanowiły uczcić 50 lecie jego pracy artystycznej — jubileuszowemi przedstawieniami.

Zasłużony weteran sceny polskiej — nie doczekał już tego dnia.

Pamięć wielkiego artysty przetrwa na długo, a przyszłe pokolenia aktorskie z czcią będą wspominać imię Edmunda Rygiera.



Wznowienie Maryi Stuart: Pp. Brandt i Białkowski jako Astolog i Nik.

Pomnik Konfederatów Barskich w Pakości nad Notecią.

Drużyna konfederatów barskich w sile 300 ludzi stanęła dnia 19 marca 1769 roku w Pakości. Była to niedziela palmowa. Czuwały tylko straże, reszta wypoczywała po krwawym znoju, część udała się do kościoła. O trzeciej wpada do świątyni w rozmodlone tłumy goniec z gromkim okrzykiem: „Bracia konfederaci do broni! Wróg w mieście!“

Okrzyki uliczne i tętent koni nieprzyjacielskich wywołał popłoch paniczny. Lud ucieka z świątyni, kaznodzieja opuszcza ambonę, celebrans chowa spiesznie Najśw. Sakrament.

Na ulicach wre już walka i leje się krew zaskoczonych przez wroga konfederatów. Kopyta kozackich koni tratowały obrońców, mordowanych i spychanych do Noteci i grzęskich mokradeł.

Konfederaci uchodzili w stronę Inowrocławia ścigani zawzięcie przez przeważne siły kozaków, huzarów i piechoty rosyjskiej.

Wreszcie noc położyła kres krwawemu pościgowi.

Nazajutrz pochowano 97 poległych konfederatów na południowej stronie wzgórza, na którem wznosi się kaplica Wniebowstąpienia Pańskiego W Pławznie, Wielowsi, Rycerzewie, w Kościelcu i Rybitwach pochowano resztę poległych.

Straty Rosyan były również dotkliwe. Przy wzgórzu Wniebowstąpienia Pańskiego, gdzie się rozchodzą drogi do Wielowsi i Kościelca. pochowano poległych Rosyan a wśród nich rotmistrza kozaków. Dnia 23. grudnia tegoż roku konfederaci zajęli Pakość na nowo Nagrobek kamienny, którego reprodukcyę podajemy waży około 90 centnarów a podarowany został przez Magistrat w Pakości, jako pomnik ku czci poległym. Wyryto na nim napis: „Konfederatom Barskim poległym w Pakości 1769 r. Wdzięczni Polacy w 1922 r.“ Pod powyższym napisem dwie krzyżujące się szable. Na odwrotnej stronie pomnika znajduje się orzeł Zygmuntowski i napis: „W piersi sarmackiej gdy krew zagrała“ itd.

Uroczystość narodowa poświęcenia pomnika kamiennego odbyła się w rocznicę rzeźi dnia 17. września 1922. z udziałem wojska, korpusu oficerskiego i wojskowej kapeli z Inowrocławia.



Bankructwo Austryi: Pięciomilionowy banknot emisyi Banku Austro — węgierskiego.

Hajdamaczyzna hula.

O aktach terroru, szerzonego we wschodniej części Małopolski przez bojówki ukraińskie z pod znaku Petruszewycza i jemu podobnych wspominaliśmy kilkakrotnie w naszem piśmie. Hajdamacy występują tam nie tylko przeciw Polakom, lecz także i przeciw Rusinom, okazującym skłonność do nawiązania przyjaznych sąsiedzkich stosunków z drugą narodowością. Ruski chłop nie jest w przeważnej części jeszcze rozpolitykowany, ani w głowie mu samodzielna Ukraina, której pojęcie jest dla niego obce, a rządy jej młodocianych polityków nieraz mu się już porządnie dały we znaki. Aktami gwałtu starają się też ukraińscy „pajdokraci“ siać postrach między ludem ruskim i zmusić go w ten sposób do oświadczenia się za ich polityką.

Dorywczo pisaliśmy swojego czasu o zamachu skrytobójczym, dokonanym w Kołomyi na osobie Rusina-ugodowca, Karasiewicza, oraz o zamordowaniu w podobny sposób Jurija Petrijczuka z Krzyworówni, jednego z członków delegacyi huculskiej, która jawiła się w dniu 17. września b. r. w temże mieście na powitanie Naczelnika Państwa. Ukraińcom nie podobały się objawy lojalności ze strony Huculów wobec przedstawiciela rządu polskiego, wywarli więc na nich zemstę. Gdy członkowie delegacyi wracali z Kołomyi późnym wieczorem do swych rodzinnych wiosek, na drodze między Wierbiążem Wyżnym a Myszynem (pow. peczeniżyński), na Jurija Petrijczuka, który pozostał nieco w tyle poza resztą, napadli narazie niewyśledzeni sprawcy i zamordowali go w ohydny sposób, podrzynając gardło. Wszczęto energiczne śledztwo, które nie pozostało bez rezultatu, skrytobójcy dostali się w ręce sprawiedliwości i osadzeni zostali w więzieniu kołomyjskiem. Są to okoliczni mieszkańcy, których hajdamacy zdołali już „uświadomić“, że Rusin, wyciągający rękę do zgody z bratnim narodem, uważany być powinien za zdrajcę i jako taki traktowany. Mordercy poniosą zasłużoną karę, moralni ich inspiratorzy pozostaną jak zwykle bezkarni, aby dalej szerzyć swe niecne dzieło. Ukraińskie gwałty spotykają się w umiarkowańszych kołach ruskich z wyrazami żywego potępienia, lud wiejski niejednokrotnie zaznaczył już dobitnie wobec szerzących rozdwojenie, że nie godzi się na ich politykę.

Odbudowa wiaduktu kolejowego na linii Stanisławów — Woronienka.

Dużo się u nas mówi i pisze o różnych cudach techniki budowlanej, z jakiemi spotkać się można za granicą. Tym, którzy unoszą się nad pomysłowością i geniuszem zagranicznych inżynierów, należałoby przytoczyć słowa poety: „Cudze chwalicie, swego nie znacie...“ i doradzić im, aby wybrali się do wschodniej części Małopolski, gdzie na linii kolejowej Stanisławów — Woronienka będą mieli sposobność zaznajomić się z objektami, których pozazdrościć nam może i zagranica. Należą do nich przedewszystkiem znany wiadukt „na Lubiżnej“ pod Delatynem i słynny most kolejowy nad Prutem w Jaremczu, zbudowany z kamienia, a ze względu na rozpiętość swą drugi w Europie. Są to dzieła naszych inżynierów, podziwiane i oceniane należycie raczej przez obcych, niż swoich.

Linia kolejowa Stanisławów — Woronienka, zbudowana w początkach obecnego stulecia głównie w celach strategicznych, ma dla kraju naszego niepoślednie znaczenie ekonomiczne, ułatwiając dostęp do licznie odwiedzanych letnisk, rozłożonych w malowniczej dolinie Prutu (Delatyn, Dora, Jaremcze, Mikuliczyn, Tartarów, Worochta) oraz eksploatacyę materyału drzewnego, tak obfitego w tej okolicy, ponadto stanowiąc bezpośrednie połączenie z dawnymi Węgrami przez Szigeth.

Ta ważna arterya komunikacyjna unieruchomioną została podczas wojny, gdy Moskale wysadzili między innymi w powietrze także i wiadukt „na Lubiżnej“. Gdy nastały spokojniejsze czasy, zabrano się energicznie do roboty, aby naprawić wyrządzoną szkodę, co połączone było z niemniejszymi trudami, jak pierwotna budowa. Przezwyciężono je jednak szczęśliwie i dziś ruch kolejowy na linii Stanisławów — Woronienka odbywa się już w sposób normalny, co dla naszego handlu i przemysłu nie jest bez znaczenia. Roboty restauracyjne przy wielkim nakładzie pracy i kosztów ukończono w ubiegłym miesiącu, oddając wiadukt do publicznego użytku. W ten sposób wschodnia część naszego kraju zyskała nowe bezpośrednie połączenie z Zakarpaciem, to jest Czecho-słowacyą i Rumunią.

Gość z Japonii w Krakowie.

W murach naszego miasta bawił w drugiej połowie października miły gość z Japonii, tym razem nie Japończyk, lecz rodowity Polak, Lublinianin, redaktor Henryk Klepacki, zamieszkały stale od lat kilkunastu w „krainie wschodzącego słońca“.

Redaktor Klepacki przybył do wolnej już Polski i tutaj we większych miastach urządził cykl wykładów z zakresu historyi nowoczesnej Japonii, obecnych jej stosunków i na temat sympatyi i zrozumienia, jakiemi się tam cieszy sprawa polska. Po Lwowie przyszła kolej i na Kraków, gdzie w sali Kolegium Wykładów Naukowych roztoczył prelegent w nader barwny sposób obraz życia japońskiego, mogącego każdemu Europejczykowi służyć za wzór, godny naśladowania. W czasie swego kilkunastoletniego pobytu w Japonii, w okresie dla jej rozwoju najważniejszym, miał redaktor Klepacki sposobność poznać dokładnie tamtejsze stosunki i zżyć się z nimi, może też o nich mówić bardzo dużo, a zawsze interesująco.

Prelekcye redaktora Klepackiego spotkały się też, tak we Lwowie jak i w Krakowie, z bardzo serdecznem i zupełnie zasłużonem przyjęciem. Obecnie redaktor Klepacki przebywa we Warszawie.

Cuda współczesnej techniki.

Żaden może dział wiedzy nie doszedł w ostatnich czasach do tak potężnego rozwoju, jak technika.

Cuda techniki (w szerokim jej zakresie) przestały nas już zdumiewać. Chłopek na wsi, który przed kilkudziesięciu laty jeszcze żegnał się pobożnie na widok pędzącego pociągu kolei żelaznej, patrzy dziś obojętnem okiem na szybujące wysoko w przestworzu aeroplany, nie mówiąc już o samochodach, co do których żywi jedynie nieufność i obawę: by mu auto nie rozjechało błąkającej się na gościńcu tłustej świnki lub tucznej gęsi.

Technika — ściśle mówiąc mechanika — prócz wielu innych dobrodziejstw przyczyniła się również do skrócenia i ułatwienia fizycznej pracy ludzkiej.

Spojrzyjmy na odnośną rycinę: Czy nawet zbiorowa siła kilkudziesięciu ludzi byłoby w stanie dźwignąć i przenieść tak kolosalną lokomotywę?

A jednak dzieje się to bardzo małym wysiłkiem ludzkim — resztę pracy wykonują bloki, dźwignie i najrozmaitsze skombinowane części potężnej machiny.

Podźwignęła ona ten kolos żelazny i złoży go lekko jak piórko na pokład okrętu.

Lokomotywa ta jest prywatną własnością nowego prezydenta Argentyny Cr. Alveara.

Mandat angielski nad Palestyną.

Francya i Anglia, starając się o umocnienie swych wpływów na Bliskim Wschodzie, usadowiły się, pierwsza w Syryi, druga w Palestynie. W języku politycznym nazywa się to „otrzymaniem mandatu“ nad danym krajem, mającego trwać tak długo, dopóki nie uporządkują się zupełnie tamtejsze stosunki, wiadomo jednak, że, gdzie zwłaszcza Anglik się raz usadowi, stamtąd i siłą go nie ruszy, a nie dopiero by miał się wynieść dobrowolnie, skoro go tam zapędził jego interes. Palestyna dostała się zatem *de facto* w posiadanie Anglii, bo tego wymagała polityka Lloyd'a George'a, choć sprzeciwiały się temu obie Izby angielskiego parlamentu, nie życzące sobie zbytniego angażowania się na Wschodzie.

W ubiegłym miesiącu odbyła się w Jerozolimie uroczysta instalacya angielskiego wysokiego komisarza dla Palestyny, którym zamianowany został definitywnie sir Herbert Samuel. W sali recepcyjnej budynku gubernialnego w Jerozolimie odczytano dekret nominacyjny królewski w trzech językach: angielskim, arabskim i hebrejskim, poczem sir Herbert Samuel złożył potrójną przysięgę wierności królowi, konstytucyi i narodowi. W uroczystości wzięli udział między innymi naczelny komendant wojsk angielskich lord Allenby i szeik arabski, emir Abdullah, wierny sojusznik Anglii. Na znak „radości“ w czasie owego aktu ludność chrześcijańska i mahometańska zamknęła ostentacyjnie swe sklepy i wstrzymała się od pracy.

Bankructwo Austryi.

„Im więcej pieniędzy — tem większa bieda“ — tą wielką ekonomiczną prawdę — stwierdza aż nadto wymownie rozpadająca się w gruzy Austrya.

Banknoty austryackie to tylko zadrukowany papier, tracący z każdą chwilą na wartości.

Im więcej banknotów w obiegu — tem mniejsze środki płatności. Tak musiała tedy Austrya wypuszczać w swych mennic noty na coraz to większe kwoty opiewające. Punkt kulminacyjny osiągnęła niedawno wydając banknoty *pięciomilionowe*, których kolebką jest Bank austryacko-węgierski.

W dzisiejszym numerze podajemy reprodukcyę pięciomilionowego banknotu austryackiego, jako swego rodzaju „curiosum“ walutowe.

Z TEATRÓW

Wznowienie „Maryi Stuart“ Słowackiego w Teatrze miejskim.

Upłynęło z góry 25 lat od ostatniej reprezentacyi młodzieńczego utworu Wieszcza. Uznanie pełne należy się też Dyrekcyi Teatru m. za to, że zapoznała nowe pokolenie z arcydziełem polskiej literatury scenicznej.

Śmiałe to a niełatwe — w dzisiejszych stosunkach — zadanie powiodło się w zupełności dyr. Trzcińskiemu, w czem i niepoślednia zasługa reżysera Sosnowskiego.

Wykonanie Maryi Stuart stanęło na prawdziwej wyżynie artystycznej, a to dzięki zarówno wybornej reżyseryi jak i znakomitej interpretacyi aktorów. Tytułową rolę odtworzyła p. Pancewiczowa, wlewając w tą postać wiele poezyi, liryzmu i tęsknoty miłosnej, zatrącającej o nutę zmysłowych pożądań.

Botwelem był p. Bracki, Darnlejem p. Nowakowski, Nickiem p. Białkowski, Riziem p. Szymanowski a Duglasem p. Kułakowski. Wszyscy stworzyli kreacye pod względem artystycznym — skończone i sharmonizowane stylowo. Co się tyczy wystawy, w szczególności dekoracyi uderzały one nietyle może trafnością ile śmiałymi pomysłami i oryginalnem wykonaniem tak właściwem ich twórcy, którym jest znany artysta p. Pronaszko.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleina.